

FRONDA

GILBERT K.
CHESTERTON

Hutton



kula i krzyż

POWIĘŚCI
Z KRZYŻYKIEM

kula i krzyż

Gilbert Keith Chesterton

kula i krzyż

FRONDA

Tytuł oryginału
THE BALL AND THE CROSS

Tłumaczenie
Maria Skibniewska

Copyright © 2008 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Redakcja
Robert Jankowski

Projekt serii
Bartłomiej Kuźnicki

Grafika na okładce
Halina Kuźnicka

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer
www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-04-8

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Druk i oprawa
Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków

Rozdział I

DYSKUSJA W OBŁOKACH

Latający statek profesora Lucyfera śmigał przez niebiosa jak srebrna strzała; zimna biała stal lśniła w zimnej szafirowej pustce wieczoru. Nie dość powiedzieć, że unosił się wysoko nad ziemią, dwom jego pasażerom zdawało się, że lecą ponad gwiazdami. Zarówno napowietrzny statek, jak całe niemal jego wyposażenie były wynalazkiem profesora Lucyfera. Toteż wszystkie instrumenty i przyrządy miały fantastyczne, dziwaczne kształty, właściwe cudom techniki. Albowiem w świecie nauki i postępu więcej jest rzeczy trudnych do nazwania, nieuchwytnych i podobnych do widziadeł sennych niż w strefie poezji i religii; tam obrazy i pojęcia pozostają przez wieki sobą, podczas gdy istotą ewolucji jest roztapianie się jednych tożsamości w innych – jak w koszmarnym śnie.

Wszystkie instrumenty profesora Lucyfera były podobne do narzędzi z dawna przez ludzi używanych, ale można by pomyśleć, że te rzeczy oszalały, zmieniły do niepoznania kształt i zapomniały swoich nazw oraz pochodzenia. Przedmiot o pozorach wielkiego klucza z trzema kółkami był w rzeczywistości patentowanym, bardzo groźnym rewolwerem. Inny, skonstruowany niejako z dwóch splecionych z sobą korkociągów, był w rzeczywistości kluczem. Coś, co na pierwszy rzut oka możnaby wziąć za odwrócony kołami do góry rower, było naprawdę ważnym nad wyraz instrumentem, do którego klucz stanowiły korkociągi. Wszystkie te rzeczy, jak już wspomniałem, profesor wynalazł sam. Wszystko w tym swoim sterowcu wymyślił sam, z wyjątkiem może jedynie własnej osoby. Za późno się urodził,

żeby sobie dać początek, mniemał jednak, że znacznie sam siebie udoskonił.

Na pokładzie – jeżeli wolno tak się wyrazić – znajdował się wszakże drugi jeszcze człowiek. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego również profesor nie stworzył ani nawet nie udoskonił, chociaż w tym właśnie celu porwał biedaka na łąkę z ogródka w zachodniej części Bułgarii. Był to wyjątkowo świątobliwy człowiek, ukryty prawie całkowicie w gęstwinie siwego zarostu; z całej jego postaci widziało się tylko oczy, lecz te oczy zdawały się mówić. Mnich, bardzo uczony i bystrego umysłu, czuł się szczęśliwy w małej kamiennej chacie pośród kamienistego ogródka na Bałkanach, gdzie spędzał czas przeważnie na pisaniu druzgocących rozpraw przeciw pewnym herezjom, których ostatni wyznawcy spłonęli dokładnie przed 1119 laty, i to w większości przypadków wysyłając się wzajemnie na stos. Były to doprawdy dość przekonujące i rozsądne herezje, toteż należy się uznanie, a nawet cześć umysłowym zdolnościom sędziwego mnicha, który potrafił wykryć fałsz tych doktryn. Na nieszczęście wśród współczesnych nikt nie miał dostatecznego wykształcenia, żeby pojąć bodaj ich argumenty. Stary mnich – który prócz wielu innych imion, niemożliwych do zapamiętania i wymówienia dla ludzi naszej zachodniej cywilizacji, nosił imię Michała – czuł się jednak, jak już mówiłem, zupełnie szczęśliwy w górskiej pustelni w towarzystwie dzikich zwierząt, i czuł się szczęśliwy nawet teraz, gdy los wywyższył go ponad wszystkie góry i obdarzył towarzystwem szalonego scjentysty.

– Nie zamierzam, mój pocziwy Michale – rzekł profesor Lucyfer – nawracać cię za pomocą argumentów. Łatwo bowiem udowodnić niedorzeczność twoich tradycyjnych wierzeń każdemu, kto wie coś niecoś o tym świecie, choćby tyle, że nie należy siadać w przeciagu ani spoufalać się z ludźmi ubogimi. Byłoby głupotą mówić o tym czy owym szczególe, żeby udowodnić filozofię racjonalistyczną. Wszystko bowiem dowodzi jej słuszności. Spoufalanie się z byle kim...

– Wybacz – odezwał się łagodnie mnich z gęstwy swojej siwej brody – ale obawiam się, że nie zrozumiałem: czy wpakowałeś mnie do tego wehikułu po to, bym mógł poufalić się z byle kim?

– Śmieszna odpowiedź, znamienna dla ciasnej średniowiecznej dedukcji – odparł spokojnie profesor – ale, nawet trzymając się twoich założeń, mogę wyjaśnić mój pogląd przykładem. Znajdujemy się w niebiosach. O ile wiem, a wiem wszystko, dla twojej religii, podobnie jak dla innych wierzeń, niebo symbolizuje najwyższą świętość i miłosierdzie. No, jesteś teraz w niebie i przekonałeś się, jak wygląda naprawdę. Możesz dobierać wyrażań, jak zechcesz, możesz kręcić, ile ci się podoba, musisz jednak przyznać, że jest inaczej, niż myślałeś. Wiesz, co naprawdę sądzi o niebie człowiek, gdy się sam pośród niego znalazł. Poznałeś prawdę, oto ona: niebo jest złe, gwiazdy są złe. Już sama przestrzeń, sam jej bezmiar przeraża bardziej niż tygrysy lub śmiertelna zaraza. Wiesz, że odkąd zabrała głos nauka, wszechświat zachwiał się w posadach. Okazuje się, że niebo jest czymś bardziej jeszcze beznadziejnym niż piekło. Jeżeli może istnieć jakaś pociecha dla was, nieszczęsnego potomstwa zwyrodniałych małp, to pociecha ta tkwi raczej pod waszymi stopami, w głębi ziemi, pod korzeniami traw, tam, gdzie dawniej umieszczano piekło. Otchłanianie płomieni, mroczne lochy podziemnego świata, w których dawniej z waszego wyroku mieli przebywać grzesznicy, są okropne, lecz wydają się znośniejsze niż niebiosy, przez które szybujemy. I nadejdzie czas, gdy będziecie się kryli pod ziemię, żeby uciec od grozy gwiazd.

– Daruj, że ci przerwę – rzekł Michał odchrząknąwszy lekko – nadal jednak mam wrażenie...

– Proszę, proszę, mów śmiało – powiedział profesor Lucyfer rozpromieniony. – Bardzo lubię, kiedy wypowiadasz swoje naiwne myśli.

– Otóż – ciągnął mnich – jakkolwiek z czysto formalnego punktu widzenia szczerze podziwiam twoją retorykę, jak również retorykę całej twojej szkoły – studia, jakie poświęciłem tobie i twojej szkole

w dziejach ludzkości, doprowadziły mnie... hm... do trochę dziwnych wniosków. Trudno mi je sformułować, szczególnie w obcym języku.

— Nie szkodzi, nie szkodzi – zachęcał profesor – pomogę ci z przyjemnością. Cóż więc sądzisz o moich poglądach?

— Doprawdy, nie wiem, czy wyrażam się poprawnie, lecz zdaje mi się, że zawsze głosisz tego rodzaju idee najwymowniej wówczas, gdy... hm... gdy...

— Och, mówże dalej! – krzyknął niecierpliwie Lucyfer.

— Ano właśnie wówczas, gdy twój sterowiec wpada na jakąś przeszkodę. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się, jeśli ci zwrócę uwagę, iż teraz właśnie na coś wpadamy.

Lucyfer zaklął i skoczył na równe nogi, mocno naciskając dźwignię, która służyła za ster latającemu statkowi. Od dziesięciu minut lecieli w dół przez olbrzymie szpary i dziury w chmurach. W purpurowej mgłę dość już blisko wyłaniało się przed nimi coś jak gdyby wierzchołek ogromnej ciemnej kuli wystającej z morza obłoków. Oczy profesora płonęły szaleństwem.

— To nowy świat! – krzyknął z jakąś przerażającą radością. – To nowa planeta, która będzie nosiła moje imię. Ją właśnie, nie tamtą pospolitą gwiazdę, nazwą Lucyferem, jutrzeńką zaranną. Nie będzie na niej zalegalizowanych obłędów, nie będzie żadnych bogów. Człowiek stanie się niewinny jak stokrotka, niewinny i okrutny zarazem. Intelkt...

— Zdaje mi się – nieśmiało odezwał się Michał – że coś sterczy nad kulą.

— Rzeczywiście – przyznał profesor wychylając się za burtę powietrznego statku: szkła jego okularów błysnęły intelektualnym podnieceniem. – Co to może być? Mogłoby oczywiście okazać się tylko...

Nagle wrzask nie do opisanego wyrwał mu się z ust i Lucyfer zamachał obu rękami niczym potępieniec. Mnich znużonym gestem ujął ster; nie zdziwił się zbyt, pochodził bowiem z zacofanego kraju, gdzie nie jest rzadkością wrzask potępieńca na widok osobli-

wego przedmiotu, który ujrzał Lucyfer na szczycie kuli. Mnich chwycił za ster w samą porę, żeby energicznym skrętem w lewo uchronić latający statek od zderzenia z katedrą Świętego Pawła.

Równina posępnie zabarwionych chmur rozciągała się na wysokości katedralnej kopuły tak, że kula i krzyż wyglądały jak boja pływająca po ołowianym morzu. Gdy sterowiec zbliżał się ku niemu, wał chmur zdawał się suchy, wyraźnie ograniczony i skalisty niby szara pustynia. Toteż umysł i ciało doznawały niesamowitego wrażenia, gdy statek przecinał chmurę i zapadał się w nią jak w zwykłą mgłę, która nie stawia oporu. Można by rzec, iż brak wstrząsu wywoływał okropny wstrząs. Jak gdyby prastara skała rozstępowała się przed nimi miękko niby masło. Czekająco ich wszakże coś jeszcze dziwniejszego niż wrażenie przenikania poprzez twardy grunt. Na krótką chwilę czarna nieprzejrzysta chmura zastoniła im oczy i wypełniła nozdrza; potem ciemność stopniowo rozptynała się w brunatnej mgłę, a mgła opadła gdzieś w dół topniejąc w ogniu. Poprzez gęstą londyńską atmosferę dostrzegli pod sobą światła Londynu; światła układały się nad ziemią w kwadraty i prostokąty ogniste. Mgła i ogień łączyły się w rozplamione opary: rzekłbyś, że mgła zatapia płomień albo że płomień rozżarza mgłę. Obok latającego statku i pod nim – bo kotęsał się w powietrzu tuż nad kulą – ogromna kopuła wystrzelała w górę i opadała w ciemność niby wielostrumienny, bezgłośny wodospad albo jak olbrzymia jednooka bestia morska, co rozsiała się nad Londynem i rozpostarła dziwnie na wszystkie strony swoje macki, potworna na bezgwiezdny niebie. Chmury bowiem, przynależne do miasta, sklepiły się nad głowami lotników zamykając im dostęp do górnych warstw przestworzy. Przebili się przez sklepienie i znaleźli we wnętrzu świątyni, w półmroku.

Byli tak blisko kuli, że Lucyfer oparł się o nią ręką, odpychając swój powietrzny statek, jak wioślarz odpycha łódź od brzegu. Nad kulą krzyż, spowity w ciemną mgłę pograniczną, rysował się widmo, tym bardziej czcigodny w swym kształcie i rozmiarach.

Profesor Lucyfer dwukrotnie klepnął dłońią powierzchnię wielkiej kuli, jak gdyby pieścił jakieś ogromne zwierzę.

– Oto coś w sam raz dla mnie – powiedziało.

– Czy pozwolisz, że najuprzejmiej zapytam – rzekł sędziwy mnich – o czym mówisz?

– O tym oczywiście – wykrzyknął Lucyfer, ponownie plasnąwszy dłońią o kulę. – To najdoskonalszy symbol, mój drogi! Jakaż ona tłusta! Jaka zadowolona! Jakże inna niż ten twój chudzielec rozpościerający ramiona zeszywniałe ze zmęczenia! – I profesor, z twarzą sposepniałą od złośliwego grymasu, wskazał w górę na krzyż. – Mówiłem ci przed chwilą, Michale, że mogę dowieść słuszności racjonalizmu i fałszu chrystianizmu analizując pierwszy z brzegu symbol, jakikolwiek przykład. Oto przykład nieodparty. Cóż mogłoby lepiej wyrazić moją i twoją filozofię niż kształt kuli i krzyża? Kula ma kształt rozumny, krzyż – nierozumny. To czworonóg z jedną nogą dłuższą od trzech pozostałych. Kula to forma nieunikniona. Krzyż to forma dowolna. Przede wszystkim zaś kula jest sama z sobą w zgodzie. Krzyż to konflikt dwóch wrogich linii, dwóch nie dających się pogodzić kierunków. Ten milczący w górze przedmiot jest w istocie swojej kolizją, zderzeniem, walką wyrażoną w kamieniu. Ba! Ten twój święty symbol dał przecież miano pojęciu rozpaczki i zamętu. Kiedy wynika nieporozumienie, kiedy doznajemy zawodu, mówimy o pokrzyżowaniu naszych planów. Precz z tym symbolem! Sam jego kształt to sprzeczność wewnętrzna.

– Wszystko to prawda – odparł z niezmaconą pogodą Michał. – Ale my lubimy sprzeczności wewnętrzne. Człowiek jest taką sprzecznością: zwierzę, którego wyższość nad innymi wywodzi się z jego upadku. Krzyż, jak mówisz, jest wiekuistym konfliktem. Ja też jestem wiekuistym konfliktem. Krzyż to walka zamknięta w kamieniu. Każda forma życia jest walką w ciele. Kształt krzyża jest irracjonalny, podobnie jak kształt ludzkiego zwierzęcia. Powiadasz, że krzyż to czworonóg z jedną nogą dłuższą od innych. Człowiek zaś to czworonóg, który używa do chodzenia tylko dwóch nóg.

Profesor na chwilę ściągnął w zamyśleniu brwi, po czym rzekł:

— Oczywiście, wszystko jest względne. Nie przeczę, że element walki i konfliktu, reprezentowany przez krzyż, mógł być potrzebny na pewnym etapie rozwoju. Z pewnością jednak krzyż uosabia niższy etap ewolucji niż kula. Bądź co bądź łatwo spostrzec, na czym polega zasadniczy błąd w pomyśle architektonicznym Wrena.

— Na czym mianowicie? – spytał grzecznie Michał.

— Umieścić krzyż na kuli – zwięźle odparł profesor Lucyfer. – To niewątpliwie błąd. Kula powinna znajdować się na szczycie krzyża. Krzyż to jedynie barbarzyńska podpora, kula to doskonałość. Krzyż w najlepszym razie jest tylko gorzkim drzewem w dziejach ludzkości, kula – krągłym, dojrzałym, pełnym owocem. Miejsce owocu jest na szczycie, nie u stóp drzewa.

— Och! – westchnął mnich marszcząc czoło. – Sądysz zatem, że w zrjonalizowanej symbolice kula powinna znaleźć się na szczycie krzyża?

— W tym streszcza się sens mojej alegorii – rzekł profesor.

— Ano, to rzeczywiście bardzo interesujące – podjął Michał bez pośpiechu – bo w takim razie zobaczyłbyś osobliwy wynik, do jakiego zazwyczaj doprowadzają sprawne i potężne systemy stworzone przez racjonalizm lub religię kuli, gdy te usiłują pokierować ludzkością i pouczyć ją. Ujrzałbyś coś, co zawsze bywa ostatecznym skutkiem i logicznym zakończeniem waszych logicznych przedsięwzięć.

— Cóż takiego? – spytał profesor Lucyfer. – Cóżby się stało?

— Kula spadłaby oczywiście – odrzekł mnich wpatrując się tęsknie w przestrzeń.

Lucyfer drgnął niespokojnie i otworzył usta, chcąc coś odpowiedzieć, lecz zanim zdążył wymówić słowo, Michał podjął znów w zamyśleniu swoje wywody.

— Znałem kiedyś podobnego do ciebie człowieka – powiedział rozwlekłe, irytująco monotonna. – Człowiek ów...

— Nie ma na świecie podobnego do mnie człowieka! – krzyknął Lucyfer tak gwałtownie, że statek zdrzął cały.

— Otóż – ciągnął Michał – człowiek ten również twierdził, że godło chrześcijaństwa to symbol ciemnoty i braku rozsądku. Historyjka dość zabawna... Ona też jest doskonałą alegorią losu racjonalistów twojego pokroju. Człowiek ów zaczął od tego, że nie chciał widzieć krucyfiksu w swoim domu ani krzyżyka na szyi swojej żony, ani nawet na obrazku. Mówił – jak ty – że krzyż ma kształt dowolny i fantastyczny, że to dziwołąg, kochany za swoje paradoksalne cechy. Potem człowiek ten roznamiętniał się i dziwaczał coraz bardziej; burzył krzyże przydrożne, mieszkał bowiem w kraju katolickim. Wreszcie w straszliwym rozjątrzeniu wdrapał się na wieżę kościoła parafialnego i zerwał z niej krzyż, wymachując przy tym rękami i monologując namiętnie, wywyższony pod gwiazdami. W końcu, gdy pewnego letniego pogodnego wieczora wracał połą drogą ku domowi, szatański obłąd ogarnął go gwałtownie i omamił zmieniając w jego oczach świat. Człowiek ów przystanął na chwilę, żeby zapalić papierosa, i popatrzył na ciągnący się przed nim długi drewniany płot. Nagle doznał olśnienia. Nie błysnęło co prawda żadne światło, nie poruszył się żaden liść, lecz on, jak gdyby ktoś zaczarował mu wzrok, zobaczył w tym momencie, że płot to zastęp niezliczonych krzyży splecionych z sobą i biegnących przez wzgórza i doliny. Zakręcił więc młynka ciężką laską i ruszył jak na wroga. Na przestrzeni kilku mil wzdłuż całej drogi wiodącej go do domu połamał i powyrywał wszystkie kołki z płotów. Nienawidził bowiem krzyża, a płot jest ścianą z krzyży. Gdy dotarł do domu, był już całkowicie obłąkany. Usiadł na krześle, zerwał się jednak natychmiast, bo w stolarskich poprzeczkach dojrzał znów znieawidzone godło. Rzucił się na łóżko, ale zaraz uprzytomnił sobie, że ten mebel, podobnie jak wszystkie zmyślane ludzkie sprzęty, zbudowany jest na tej samej potępionej zasadzie. Porąbał własne meble, ponieważ składały się z krzyży. Spalił dom, bo i on zbudowany był z krzyży. W końcu wyłowiono nieszczęśnika z rzeki.

Lucyfer patrzył na mnicha przygryzając wargi.

— Czy to historia prawdziwa? – spytał.

– Ach, nie! – lekko odparł Michał. – To parabola. Parabola mówiąca o tobie i o wszystkich twoich racjonalistach. Zaczynacie od obalania krzyża, a kończycie na burzeniu wszystkiego, co umożliwi ludzom życie na ziemi. Gdy się rozstajemy, twierdzicie, że nikt nie powinien należeć do Kościoła wbrew swojej woli. Gdy się spotykamy następnym razem, powiadacie, że nikt nie chce z własnej woli należeć do Kościoła. Gdy się rozstajemy, mówicie, że nie istnieje raj. A przy następnym spotkaniu utrzymujecie, że nie ma Irlandii. Zaczynacie od nienawiści do tego, co irracjonalne, a w końcu nienawidzicie wszystkiego, bo wszystko jest irracjonalne. Toteż...

Lucyfer rzucił się na niego z rykiem dzikiej bestii.

– Ha! – wrzasnął. – Każdy ma swego bzika. Ty masz bzika na punkcie krzyża. Niechże cię teraz krzyż zbawi!

I z herkulesową siłą wypchnął mnicha przez burtę rozkołysanego sterowca na wierzchołek kamiennej kuli. Michał z nie mniej zdumiewającą zręcznością chwycił za jedno ramię krzyża i dzięki temu uniknął upadku. W tej samej chwili Lucyfer nacisnął jedną z dźwigni i statek powietrzny poderwał się w górę unosząc jednego już tylko pasażera.

– Cha, cha! – zaśmiał się profesor. – Jak tam? Czy krzyż dobrze służy jako podpora, mój stary?

– Jeżeli chodzi o praktyczne zastosowanie – odpowiedział Michał z uporem – jest to bądź co bądź lepsza podpora niż kula. Pozwolę sobie zapytać, czy masz zamiar pozostawić mnie tutaj?

– Tak, tak! Wznoszę się, wznoszę! – odrzyknął profesor w niepohamowanym podnieceniu. – Altiora peto! Moja droga wiedzie wzwyż!

– Ileż to razy powtarzałeś mi, profesorze, iż w przestrzeni nie ma góry ani dołu! – rzekł mnich. – Ja więc wznoszę się równie wysoko jak ty.

– Doprawdy? – zawołał Lucyfer wychylony przez burtę swego statku. – Czy wolno wiedzieć, co chcesz zrobić?

– Wzlecę ku tej oto gwiazdzie – odparł mnich wskazując w dół na Ludgate Hill.

Ludzie traktujący ten temat powierzchownie uważają paradoks za element dowcipu i lekkiego stylu dziennikarskiego. Paradoks tego typu znajdziemy w słowach złotego młodzieńca z dekadencejki komedii: „Życie jest sprawą zbyt ważną, żeby je brać poważnie”. Kto jednak głębiej albo subtelniej ujmuje zagadnienie, dostrzeże, iż paradoks w szczególny sposób wiąże się z wszystkimi religiami. Takim paradoksem jest powiedzenie: „Cisi posiadają ziemię”. Ale kto widzi i odczuwa istotę rzeczy, ten wie, że paradoks zjawia się nie tylko w religii, lecz również we wszystkich intensywnych i gwałtownych przeżyciach człowieka. Tę odmianę paradoksu pojąłby łatwo każdy, komu by zdarzyło się zawisnąć w przestworzach na ramieniu krzyża wieńczącego katedrę Świętego Pawła.

Ojciec Michał mimo ascetycznego trybu życia – a może właśnie dzięki niemu – był bardzo zdrowym i pogodnym staruszkiem. Huśtając się na poprzeczce krzyża nad zawrotną pustką, z jakąś zabójczą obojętnością, charakterystyczną dla umysłu człowieka w obliczu niebezpieczeństwa, uświadomił sobie nieśmiertelną i beznadziejną sprzeczność zawartą nieuchronnie w pojęciu odwagi. Był pogodnym i zdrowym staruszkiem, toteż nie przejął się tym zbyt. Czuł, co czuje każdy w napięciu strachu, a mianowicie, że głównym niebezpieczeństwem jest sam strach, jedyną zaś dostępną bronią – opanowanie graniczące z lekkomyślnością, posunięte do samobójczego niemal zuchwalstwa. Miał szansę ocalenia jedynie pod tym warunkiem, że niezbyt rozpaczliwie będzie pożądał bezpieczeństwa. Może na przerażającej powierzchni kuli znaleźć stopnie, które sprowadzą go w dół, jedynie wtedy, gdy nie będzie ich szukał zbyt gorliwie. Uratuje się, jeżeli się zachowa jak szalenciec; jeśli natomiast postąpi zgodnie z rozsądkiem, zostanie tu, gdzie jest, póki nie odpadnie od krzyża jak kamień. Powtarzał sobie w myśli tę antynomię, rozważał sprzeczność równie głęboką i jaskrawą jak wielka sprzeczność krzyża; wspominał znane słowa: „kto by stracił duszę swą... odnajdzie ją”. Pomyślał z jakąś dziwną liutością, że w powszechnym mniemaniu znaczy to, iż kto straci fizycz-

ne życie, ten ocali duchowe. Michał poznał jednak teraz prawdę znaną wszystkim wojownikom, myśliwym, wspinaczom wysokogórkim, wiedział, że nawet by ocalić swoje zwierzęce życie, musi być w pewnym stopniu gotów je utracić.

Komuś może wyda się nieprawdopodobne, żeby człowiek w tak rozpaczliwym położeniu, zawieszony między niebem a ziemią, rozważał te filozoficzne rozbieżności. Lecz niebezpieczna to rzecz ustalać arbitralnie prawa dla tak krańcowych stanów duszy. Powodują one często jakieś bezprzedmiotowe i bezradosne ożywienie intelektu, wyzute zarówno z nadziei, jak z pragnień. Nie można więc dla tych stanów wyznaczać reguł, tym bardziej nie sposób ich opisać. Po spazmie rozsądku i jasności w umyśle Michała nastąpił spazm prymitywnego strachu, tego zwierzęcego strachu, który tkwi w człowieku każąc mu cały wszechświat uważać za wroga, a jeżeli zwycięża – nie ma litości, pokonany zaś – nie zachowuje ani skry nadziei. Język ludzki nie zna słów, by wyrazić owe dziesięć minut grozy. Lecz po ich upływie znów zajaśniał w potępieńczych ciemnościach dziwny szarawy i srebrzysty brzask. O tej ostatecznej rezygnacji czy może pewności jeszcze trudniej pisać niż o wszystkich innych stanach duszy. To zjawisko, dziwniejsze bodaj od samych piekieł, jest może najtajniejszym z sekretów Boga. U szczytu napięcia nieuleczalnej udręki spada na człowieka nagle spokój jakiegoś obłądnego zadowolenia. Nie jest on nadzieją, bo nadzieja już załamała się, nadzieja zresztą jest romantyczna i zwrócona ku przyszłości, a ten spokój jest spełnieniem i należy do teraźniejszości. Nie jest wiarą, bo wiara z natury swej jest wojownicza, zarazem niejako poddana zwątpieniom i wyzywająca, a ten spokój to tylko ukojenie. Nie jest wiedzą, bo intelekt nie ma w tym udziału. Z pewnością nie jest też drętwotą czy też porażeniem zdolności do cierpienia – jak powiedzieliby nowocześni głupcy. Ten spokój nie ma nic negatywnego, jest pozytywny jak dobra nowina. W pewnym sensie jest właśnie dobrą nowiną. Jak gdyby istniało pewne wyrównanie między zjawiskami, pewna równowaga wszystkich zdarzeń, której nie wolno nam znać,

bo moglibyśmy zobojętnieć na dobro i zło, które jednak bywa nam objawione na moment jako ostatnia pomoc w ostatecznej męce.

Michał na pewno nie umiałby rozumowo uzasadnić tego ogromnego, nedorzecznego zadowolenia, które go przeniknęło i wypełniło po brzegi. Z jakąś na półobłądną jasnością wiedział, że przy nim jest krzyż, pod nim kula, a pod kulą kopuła i że za chwilę zejdzie po niej w dół; zdawał sobie sprawę, że jest mu zupełnie obojętne, czy się zabije, czy nie. Tajemniczy stan trwał dość długo, by Michał mógł rozpocząć straszliwą wędrówkę i rozpoczynawszy – wytrwać. Nim wszakże dotarł do najwyższej zewnętrznej galerii, sześciokrotnie strach wracał niby huragan niosący ciemność i pioruny. Kiedy mnich stanął wreszcie na bezpiecznej galerii, miał wrażenie – jak w obłądzie pijaństwa – że posiada dwie głowy: jedną spokojną, lekkomyślną i sprawną, a drugą, która widzi niebezpieczeństwo wyraźnie jak na mapie, jest mądra, ostrożna i całkowicie bezużyteczna. Wyobrażał sobie, że będzie musiał spuścić się prostopadłe wzdłuż fasady gmachu aż na sam dół. Kiedy osunął się na zewnętrzną galerię, czuł się wciąż jeszcze tak daleko od ziemi, jak gdyby dopiero co spadł ze słońca na księżyc. Ciężko dysząc zatrzymał się chwilę na ganku pod kulą i wlokąc opieszale nogi zrobił kilka kroków naprzód. Nagle jakby go piorun strzelił: człowiek, tęgi, zwykły człowiek, ze spokojną, pospolitą twarzą, w bardzo prozaicznym mundurze z rzędem guzików na piersi, zastąpił mu drogę. Michał nie zastanawiał się wcale, czy ten krzepki, zdumiony mężczyzna z ciemnym wąsem i metalowymi guzikami przybył tu podobnie jak on na latającym statku. Myśli mnicha po prostu roztajały w uczuciu bezgranicznego szczęścia z powodu tego spotkania. Pomyślał, że miło będzie spędzić resztę życia na tym ganku w towarzystwie drugiego człowieka. Pomyślał, że będzie się rozkoszował nieznaną duszą tego towarzysza i słuchał z wielkim zainteresowaniem o jego nieznanych wujach i ciotkach. Przed chwilą umierał samotnie. Teraz żył we wspólnym świecie z tym bliźnim, i to napawało go niewyczerpaną radością. W galerii u stóp kuli ojciec Michał spotkał tego, który jest najszla-

chetniejszym, najwspanialszym i najmiłym z ludzi, cnotliwszym niż wszyscy święci, wznioślejszym niż bohaterowie: spotkał swego Piętaszka.

W zamęcie melodii i barw tego nowego rajy Michał niejasno i jak gdyby z wielkiej dali słyszał słowa, które piękny, krzepki mężczyzna zwracał do niego mówiąc coś o spóźnionej godzinie i złamanych przepisach. Pytał też, jakim sposobem Michał dostał się tak wysoko. Widać podobnie jak on sądził, że ziemia jest gwiazdą zawieszoną pośród niebios.

W końcu Michał nasycił się zmysłową muzyką głosu człowieka w mundurze z guzikami i zaczął wsłuchiwać się w treść jego słów, a nawet próbował odpowiedzieć na pytanie, które tamten powtórzył już wielokroć, a teraz ponawiał z pewnym naciskiem. Michał zrozumiał, że ten „obraz Boga” z nikłowymi guzikami pyta go, jakim sposobem dostał się na galerię. Powiedział więc, że przyleciał na latającym statku Lucyfera. Usłyszawszy tę odpowiedź „obraz Boży” zmienił natychmiast ton. Przedtem odzywał się do Michała szorstko jak do przestępcy, teraz przemówił z ożywieniem, ze skwapliwą przymilnością, jak do dziecka. Szczególnie, jak się zdawało, pragnął odsunąć mnicha od balustrady. Pociągnął go za ramię ku drzwiom, które prowadziły do wnętrza kopuły, przez cały czas szepcząc coś łagodnie. Obiecywał mu niezwykle przyjemności i przeróżne korzyści, czekające go rzekomo na parterze, tak malowniczo, że nawet Michał – niezbyt świadomy spraw tego świata – poznawał się na nieprawdopodobieństwie obietnic. Mimo to, po prostu z uprzejmości, poszedł za przewodnikiem niekończącymi się, skręconymi w spiralę schodami w dół. W pewnej chwili zobaczył jakieś otwarte drzwi; skręcił w nie, lecz niepojęty człowiek z guzikami skoczył za nim, i przytrzymał go w miejscu. Michał zresztą nie pragnął się ruszać, chciał tylko stać i patrzeć. Znalazł się jakby w innej nieskończoności, pod kopułą innego nieba. Ale była to kopuła i niebo zrobione przez człowieka. Złoto, zieleń i szkarłat tego zachodu nie lśniły w bezkształtnych obłokach, lecz miały postać cherubinów i serafinów,

czcigodne ludzkie kształty z płomiennymi skrzydłami. Gwiazdy, zamiast błyszczeć w górze, jaśniały w dole, jak gdyby cała konstelacja nie rozsypując się spadła na ziemię. Samą kopułę wypełniały ciemności. Niżej zaś, jeszcze niżej niżli światła, czerniały petzające lub nieruchome wielkie skupiska ludzi. Głos jak gdyby organów wstrząsał powietrzem przestworzy, a poprzez ich tony inny głos potężniejszy jeszcze doszedł uszu Michała: straszny, wiekuisty głos człowieka, od początku świata aż po jego kres wzywający bogów. Michałowi wydało się niemal, że to on jest Bogiem i że do niego wołają te wszystkie głosy.

– Nie, nie, to nie tu jest najpiękniej – mówił pieszczotliwie półbóg z guzikami. – Najpiękniejsze rzeczy czekają cię na dole. Chodź ze mną, czeka cię tam niespodzianka, coś, o czym marzysz.

Mężczyzna w mundurze z guzikami widocznie wcale nie czuł się bóstwem. Michał zatem nie próbując dzielić z nim swoich uczuć poszedł za jego przewodem krętymi schodkami. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, na którym piętrze. Wciąż jeszcze przepętniała go zimna wspaniałość przestworzy i doznawał tego, co pewien francuski pisarz tak doskonale nazwał zawrotem głowy od nieskończoności, gdy nagle inne znów drzwi otworzyły się przed nim i z nieopisanym wstrząsem stwierdził, że stoi na dobrze znanym gruncie, na rojnej od ludzi ulicy, mając domy, a nawet latarnie ponad głową. Poczuł się niewymownie szczęśliwy i mały. Miał wrażenie, że stał się z powrotem dzieckiem; niczym dziecko przyglądał się poważnie chodnikom, jak gdyby zastanawiając się, czy można by ich użyć do jakiejś przyjemnej zabawy. Poddał się ciepłej fali przyjemności, tej przyjemności, którą odrzucają ludzie pyszni, bo łączy się ona z upokorzeniem, a może nawet sama jest upokorzeniem. Doznają jej ci, którzy ocaleli ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, mężczyźni, którym niespodzianie ukochana kobieta odpowiada miłością, grzesznicy, którym odpuszczono winy. Oczy Michała rozkoszowały się wszystkim, na czym spoczęły, i to nie tylko z radością estety, lecz pospolitym zdrowym apetytem małego chłopca zjadającego

ciastko. Mnich cieszył się regularnymi kształtami domów, podobały mu się ich kanty ostre, jakby je sam ociosał nożem. Oświetlone prostokąty wystaw podniecały go tak, jak światła sceny podniecają młodego widza obietnicą pantomimy. W jednym ze sklepów, który zuchwale wysuwał swoje towary aż na chodnik, dostrzegł kanciaste puszki z konserwami mięsnymi i widok ten przypomniał mu setki wesołych kolacji na setkach ulic. Michał był może najszczęśliwszym z dzieci świata, ponieważ przez tę nieznośnie dłużącą się chwilę, gdy zwisał w powietrzu i osuwał się na kulę katedry Świętego Pawła cały wszechświat został zburzony i odbudowany dla niego na nowo.

Nagle w zgietku ciemnych ulic rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Z niepojętą skwapliwością, charakterystyczną dla londyńskiego tłumu, ludzie rzucili się w tamtym kierunku, ku oficynie obok sklepu z konserwami. Rozbita szyba zaścielała szklanymi okruchami chodnik. Policja już ujęła sprawcę, bardzo wysokiego młodzieńca o gładkich ciemnych włosach i ciemnych rozgorączkowanych oczach, z szarym pledem przerzuconym przez ramię; on to właśnie jednym zamachem laski rozbił szybę w wystawie.

— Gotów bym ją stłuc po raz drugi — oświadczył z twarzą pobladłą od gniewu. — Każdy by zrobił to samo. Czy nie widzieliście, co tam było napisane? Przysięgam, że gotów jestem zbić tę szybę po raz drugi. — Wzrok jego natknął się na zakonny habit ojca Michała i młodzieniec uchylił szarej czapeczki gestem katolika. — Ojczce, czy widziałeś, co tam było napisane? — zawołał drżąc cały. Czy widziałeś, ojczce, co ośmielili się napisać? W pierwszej chwili nie zrozumiałem, ale nim doczytałem do połowy — zbiłem szybę.

Michała ogarnął zameęt uczuć. Wszystek pokój świata boleśnie zacieśnił się do jego serca. Inni ludzie wcale nie dostrzegali tego nowego dziecięcego świata, który się jemu tak nagle objawił. Toczyli dalej swoje dawne, niepojęte, politowania godne, bezcelowe spory, a obie strony mówiły tak wiele mając tak mało istotnych rzeczy do powiedzenia. Nagle spadło na Michała gwałtowne natchnienie. Postanowił porazić tych ludzi miłością Boga. Niech żaden z nich nie

odejdzie z tego miejsca, póki nie ujrzy słodczy i niezwykłości własnego życia; niech nie ruszą się stąd, póki nie będą gotowi wrócić do domu ściskając się jak bracia i krzycząc z radości jak wyzwolenicy. Krzyż, z którego ramion zsunął się Michał, rzucał cień swego niezwykłego miłosierdzia; pierwsze trzy słowa zabrzmiały z ust mnicha niby głos srebrnej trąby i przykuły słuchaczy do miejsca. Gdyby mógł w tym olśnieniu przemawiać przez godzinę, może na ulicy Ludgate Hill powstałby nowy zakon. Lecz ciężka dłoń przewodnika spadła zniecka na ramię Michała.

— Biedak ma bzika – oznajmił wszem wobec dobrodusznie.
– Spotkałem go wałęsającego się po katedrze. Powiada, że spadł z latającego statku. Macie tam jakiegoś policjanta na zbyciu, żeby się nim zajął?

Policjant na zbyciu znalazł się natychmiast. Dwaj inni wzięli w opiekę wysokiego młodzieńca w szarym ubraniu, czwarty zajął się o właściciela sklepu, zdradzającego nieco wojownicze usposobienie. Wysokiego młodzieńca zaprowadzono do sędziego, dokąd i my podążymy w ślad za nim w następnym rozdziale. A najszcześliwszego z ludzi odstawiono do domu wariatów.